Rok 1901. Lwów, 21. Kwietnia Nr. 16.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ ½
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 21. Kwietnia 16.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY I LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron, rocznie 16.—	półrocznie 8.—	kwartalnie 4.—	miesięcznie 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek „ 16.—	„ 8.—	„ 4.—	„ 2.—
W innych krajach europ.	franków „ 20.—	„ 10.—	„ 5.—	„ 2.—
W Ameryce północnej	dolarów „ 4.—	„ 2.—	„ 1.—	„ 1
W Ameryce południow.	franków „ 25.—	„ 13.—	„ 7.—	„ 3.—

PRENUMERATĘ należy nadsyłać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" Lwów – Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5. oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 21. kwietnia Nr 16.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 16:

Z dziedziny ekonomiczno-społecznej.

Niejednokrotnie już zajmowaliśmy się nowoczesnym ruchem kobiecym, podnosząc, że należy go uważać tylko jako zło konieczne, wynikające z ekonomicznego ogólnego położenia. Naturalnem położeniem kobiety pozostaje zawsze jej posłannictwo, jako żony i matki. Obok tego naturalnego powołania istniały zawsze t. zw. zawody kobiece, które niezamężnym niewiastom udzielały sposobności do zapewnienia sobie samodzielnego utrzymania życia. Okoliczność, że liczba kobiet, którym nie jest danem spełnić właściwego ich posłannictwa żony i matki i które muszą dla tego z pracy zarobkowej utrzymywać się, staje się z każdym rokiem większą, wywołała to, że już od dawniejszego czasu powstało przepełnienie we właściwych zawodach kobiecych i wzbudziło pragnienie, by dla kobiet uprzystępniono także takie gałęzie zarobkowe, które dotąd były tylko udziałem mężczyzn. Nie chcemy tutaj badać, czy współzawodnictwo kobiet z mężczyznami będzie korzystnem dla ogólnych stosunków społecznych, zamierzamy raczej trzymać się faktu, że istnieje ekonomiczna bieda dla rodzaju żeńskiego i postarać się o wyświecenie przyczyn tego zjawiska ekonomicznego.

Jest to liczebnie stwierdzoną rzeczą, że w większej części państw europejskich liczba kobiet przewyższa cyfrę mężczyzn. I tak wedle spisu ludności z 1890 roku przypadło na 1000 mężczyzn w Niemczech 1039 kobiet, we Francyi i Belgii 1007, w Rosyi 1009, we Węgrzech 1015, w Holandyi 1023, w Danii 1050, we Wielkiej Brytanii 1060, w Szwecyi 1065, w Norwegii 1073, w Portugalii 1083, we Finlandyi 1030. Tylko w niewielu krajach południowych przeważa liczba mężczyzn: na 1000 z nich przypada we Włoszech 995 kobiet, w Serbii 947, w Rumunii 944, w Grecyi 906 i w Bośnii 895. Tej przewagi liczebnej nie mają kobiety z natury, ponieważ między nowo-narodzonemi dziećmi np. w Niemczech było na 1000 dziewcząt 1063 chłopców. Ale mężczyźni umierają wcześniej i liczniej, niż żeńska połowa rodzaju ludzkiego i tak zmniejsza się różnica z każdym rokiem, aż wreszcie w 16 lub 17 roku życia równoważy się zupełnie. Od tego czasu może w skutek przepracowania albo liczniejszych przypadków w życiu zawodowem mężczyzn, zaznaczać się zaczyna różnica na korzyść rodzaju żeńskiego. Podczas kiedy w 1900 roku w okresie do lat 10 przypadało na 1005 chłopców 995 dziewcząt, to w latach od 10 do 20 przypadło ich 1001, od 20 do 40 lat 1033, od 40 do 70 lat 1113, od 70 albo więcej lat nawet 1223. Nieproporcyonalny stosunek między obydwoma płciami powiększył się w ostatnich trzech dziesiątkach lat. Po części przyczyniło się do tego także wychodztwo, w którem część męska rodzaju ludzkiego bierze udział daleko większy.

Do tej wielkiej liczby kobiet, które nie spełniają swego naturalnego przeznaczenia, jako żony i matki już ze względu na stosunki, dochodzi już wielka liczba tych, które pozostają niezamężne wskutek względnego zmniejszenia się liczby zawartych małżeństw. Liczba małżeństw zależy właśnie od ogólnego położenia ekonomicznego kraju. W 1838 roku jeszcze było na 100.000 osób w Prusach przeciętnie 1803 połączonych związkiem małżeńskim, w przeciągu lat 50 już spadła ta liczba na 1623. W innych częściach Niemiec przedstawiają się te liczby jeszcze niepomyślniej. Wedle obliczenia statystyka Oesterlena znajduje się obecnie w Europie w ogóle mało po nad połowę dorosłych w związkach małżeńskich.

Jak w wielkich miastach rośnie liczebna przewaga kobiet, można poznać ztąd, że np. w Berlinie liczba zwyżkowa kobiet w 1875 roku wynosiła 4152, w dziesięć lat później 51.331, a w 1890 roku już 53.000. Coraz więcej dziewcząt pozostaje niezamężnemi, bez zarobku, po większej części w biedzie. A do tych szeregów olbrzymich dochodzi także niemała liczba wdów, które po śmierci męża mniej lub więcej skazane na samodzielną pracę zarobkową. W każdem państwie jest co najmniej jeszcze raz tyle wdów, co wdowców. W Szwajcaryi na 1000 osób żeńskich wyżej lat 15 przypada 127·3 prct. wdów, a na 1000 mężczyzn wyżej lat 15 tylko 60·3 prct. wdowców, w Anglii 114 : 54, we Włoszech 136 : 60, we Francyi 139 : 73, w Austryi 121 : 44, w Niemczech 130·5 : 50.

Ekonomiczne położenie rodzaju żeńskiego uwydatnia się z każdym rokiem coraz groźniej, zwłaszcza w miastach. Dawniej, kiedy punkt ciężkości produkcyi w ogóle mieścił się w gospodarstwie domowem, znajdowały kobiety wdzięczne i rozległe pole pracy. Przez ogrodnictwo i uprawę roli otrzymywały potrzebne do życia płody surowe, z przerabiania ich uzyskiwały potrzebne wyroby przemysłowe i przez to stawały na tej samej wysokości produktywnego działania, co mężczyźni, których zakres zawodowy znajdował się poza obrębem domu. Teraz jest inaczej i dla kobiet o wiele gorzej. Nowoczesny wielki przemysł, maszyny i polegająca na nich nowa zasada rozdzielania pracy, obliczona na tanie produkowanie hurtownych artykułów, zepchnęły kobietę z zaszczytnego stanowiska, jako właściwej siły produkcyjnej w gospodarstwie i zmusiły do czynności niższego rzędu po za domem, zamieniając ją w niewolnicę. Wolne w domu siły kobiet i dzieci wchłonął wielki przemysł na swoje usługi — siły, które nieuczone i ofiarowane hurtownie, można było wyzyskać pod względem taniości zapłaty.

Ograniczenie tych sił na nieliczne gałęzie zawodowe pomnożyło naturalnie podaż z roku na rok, rozdział pracy stał się coraz bardziej wyrafinowany, praca sama coraz bardziej mechaniczną, coraz mniej

donośną, nędza życia coraz dotkliwszą, im większą stawała się liczba niezamężnych, im droższem utrzymanie życia, im niesumienniejszem wyzyskiwanie żeńskich sił roboczych, im mniej korzystać mogły z ochrony ustaw państwowych. Położenie wielkomiejskich robotnic fabrycznych i szwaczek bielizny i płaszczy damskich, które niekiedy zarabiają tylko po 3 do 4 i pół fen. za godzinę, stało się wprost okropnem!

Że ludność wiejska jest poniekąd korzystniej wyposażona, tłómaczy się to łatwo tem, że tam dawniej ogólne gospodarstwo naturalne istnieje dotąd jeszcze i zawieranie małżeństw ułatwia zdolność kobiet i dziewcząt do produktywnej pracy w domu i za domem. Najgorzej atoli przedstawia się los dziewcząt z stanów wyższych i średnich, które straciły ojcowskiego żywiciela i nie znajdują męża. Dzisiejszy ruch kobiecy stara się głównie o zdobycie tym dziewczętom położenia ekonomicznego, odpowiadającego ich wychowaniu i społecznemu stanowisku występując za tem, aby im z jednej strony dostarczono sposobności do zupełnego duchowego i fizycznego wykształcenia, a z drugiej, aby otworzono nowe drogi zawodowe dla tych kobiet. Można potępiać wygórowane żądania i wybujałości nowego ruchu kobiecego, ale zaprzeczyć nie można, że ma on podstawę w stosunkach ekonomicznych kobiet, które naszkicowaliśmy wyżej. Ruch ten wprowadzony na właściwe i spokojne tory, mógłby oddać samotnym kobietom, skazanym na samodzielne utrzymywanie się z pracy rąk, wielkie przysługi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W ciągu ubiegłego tygodnia obwieszczono 2 nadzwyczaj znamienne i ważne rozporządzenia cesarskie.

Jedno tyczy nominacyi nowych parów, drugie założenia galeryi sztuki w Pradze. To ostatnie opiewa:

„Kochany panie Koerberze! Popierałem zawsze sztuki plastyczne dla oczyszczających wpływów, jakie sztuki na umysł i obyczaje ludzi wywierają, zwłaszcza uważałem zakładanie ognisk uprawy tych sztuk za jeden z najpiękniejszych obowiązków mojego posłannictwa monarszego.

„Byłby to nowy ważny krok postępu, gdyby w tych stolicach moich krajów koronnych, które na mocy uprawnionych przypuszczeń mogłyby posłużyć za ogniska artystycznego rozwoju, a nie posiadają dotąd publicznych galeryi sztuki, powstały takie, dostępne dla wszystkich warstw ludności zbiory; miłość i zrozumienie sztuki narodowej znalazłyby tam trwałe siedziby, idealne uczucia ludów niepożyte źródło podniosłych natchnień."

„Ożywiony tem pragnieniem, patrząc na wyborne, daleko poza granicami ojczyzny uznane dzieła żyjących artystów z mojego ukochanego królestwa czeskiego, nakazuję założenie w królewskiej stolicy mojej Pradze czeskiej galeryi dla współczesnego malarstwa, rzeźby i architektury, która przejdzie potem w posiadanie rzeczonego królestwa, z przeznaczonych przezemnie w tym celu środków, i oczekuję, że obadwa szczepy ludowe, kraj ten zamieszkujące, w najdalszej przyszłości składać będą na tem miejscu bogate dowody swojego uzdolnienia dla dobra i rozkwitu swojej sztuki ojczystej."

„Polecając Panu abyś wspólnie z moim ministrem oświaty i wyznań poczynił mi jaknajrychlej odpowiednie przedstawienia, wyrażam pewność, że w ten sposób kojąca siła sztuki potrafi oddać rzeczywiste usługi sprawie pokoju wewnętrznego w państwie."

Prawie na tej samej linii widnokręgu moralnego stoją nominacye ośmiu nowych parów austryackich, powołanych wyłącznie z pomiędzy kapłanów nauki i sztuki.

Oto nazwiska tych ośmiu mężów, w których monarcha uczcić pragnął poważną ich, beztendencyjną pieczę około ideałów umysłowości ludzkiej:

1) Antoni Dworzak, profesor konserwatoryum w Pradze czeskiej;

2) dr. Emil Frida (Jarosław Vrchlicky), profesor uniwersytetu czeskiego w Pradze czeskiej;

3) radca dworu dr. Teodor Gomperz, profesor uniwersytetu w Wiedniu;

4) radca dworu dr. Ernest Mach, profesor uniwersytetu w Wiedniu;

5) radca dworu dr. Adolf Mussafia, profesor uniwersytetu w Wiedniu (włoch, słynny filolog romański);

6) radca dworu dr. Stanisław Smolka, profesor uniwersytetu jagiellońskiego w Krakowie;

7) radca dworu dr. Herman Zschokke, kustosz kapituły metropolitalnej św. Szczepana w Wiedniu;

8) Kacper Zumbusch, profesor Akademii sztuk pięknych w Wiedniu.

* * *

Najstarszy syn cesarza Wilhelma, 19-letni książę następca tronu Fryderyk Wilhelm, przybył z wielką świtą do Wiednia i doznał tam bardzo serdecznego przyjęcia. Na dworcu powitał go cesarz Franciszek Józef, otoczony wszystkimi członkami swej dynastyi.

Ministrów nie było, ponieważ wizyta ks. Fryderyka Wilhelma ma rzekomo charakter wyłącznie familijny i książę przybywa podobno do Wiednia nie z misyą polityczną, lecz w zamiarach matrymonialnych. Mimo to nie podobna odmówić jego wizycie znaczenia politycznego. Sam już jego przyjazd jest manifestacyą uczuć przyjaznych i serdecznych, łączących dwory berliński i wiedeński, a zapał z jakim pisma niemieckie witają niemieckiego następcę tronu i reprezentanta mocarstwa sprzymierzonego, nadaje wypadkowi charakter wysoce polityczny. Przy sposobności objawienia uczuć, jakie ożywiają Niemców austryackich, uwydatnia się też węzeł polityczny, łączący sąsiednie monarchie, i o to też niewątpliwie chodziło cesarzowi Wilhelmowi. Wyjazd ks. Fryderyka Wilhelma do Wiednia jest zamaskowaną manifestacyą, obliczoną na osłabienie wrażenia, które zrobiło w Europie przybycie floty włoskiej do Tulonu. Jakiegokolwiek stanowisko zajmą w przyszłości Włochy, przymierze pomiędzy Austryą a Niemcami pozostanie niewzruszone — to chciano zaznaczyć przez wizytę niemieckiego następcy tronu u cesarza Franciszka Józefa.

* * *

Wiadome są już rezultaty poniedziałkowego zgromadzenia świętego kolegium. Książę biskup krakowski Puzyna został kardynałem, obejmując sierocy długo spadek po kardynale biskupie krakowskim, Albinie Dunajewskim. Znowu przeto narodowość polska będzie posiadała w świętem kolegium dwóch swoich przedstawicieli: kardynała Ledóchowskiego i kardynała Puzynę.

Alokucya Ojca św. wyraża głęboką boleść Jego serca z powodu prześladowania, jakiego doznaje Kościół katolicki w obecnej chwili we Francyi, Hiszpanii i Portugalii. Nie znamy jeszcze tekstu alokucyi, wszakże ci, którzy znają prąd, wiejący w łonie Watykanu, zapewniali, że co do Francyi nie będzie ona brzmiała zbyt ostro. Pomimo uchwalenia ustawy o kongregacyach przez izbę deputowanych i rychłego prawdopodobnie już wejścia jej w życie, najmniej w łonie Kuryi złego spodziewają się od Francyi.

Gorzej rysuje się najbliższa przyszłość w Hiszpanii i Portugalii, gdzie podbechtana ludność ima się gwałtów, podpala i plądruje klasztory, zwłaszcza jezuitów. Leon XIII głęboko boleje nad tem, że kraje te, których katolików Stolica Apostolska od dawna otaczała swoją szczególną pieczołowitością, obecnie rzucają się namiętnie w odmęt haseł najradykalniejszych i wydają wojnę Kościołowi. Szczególnie zasmuciło Ojca św. zachowanie się króla Karola portugalskiego. W ciągu ostatnich kilku lat zmienił on swoje zapatrywanie w sposób wielce dla serca Leona XIII zasmucający. Kilka lat temu odwołał król portugalski zapowiedzianą już w Kwirynale wizytę swoją dlatego tylko, że w Watykanie dano mu do poznania, iż wizyta jego u królestwa włoskich byłaby przykrą dla głowy Kościoła. Obecnie król Karlos portugalski otwarcie w swoich aktach i słowach przyznaje się do liberalizmu i znosi klasztory.

*

Książę biskup krakowski Jan kniaź z Kozielska Puzyna, mianowany Kardynałem, urodził się w Gwoźdźcu w Galicyi dnia 13-go września 1842-go r. jako czwarty syn ś. p. Romana kniazia Puzyny, pana na Gwoźdźcu, Czechowie i Ostapkowcach, majora pułku krakusów wojska księstwa warszawskiego (w r. 1811-ym), kawalera złotego krzyża *Virtuti militari*, i ś. p. Hortensyi z Dwernickich z Zawała. J. E. ks. kardynał Jan z Dukli, Maurycy, Paweł kniaź Puzyna po ukończeniu wyższych nauk otrzymał w r. 1870-ym stopień doktora praw, a w roku 1878-ym święcenia kapłańskie. W r. 1880-ym zamianowany kanonikiem katedralnym przemyskim, w r. 1885-ym wstąpił na sufraganię lwowską jako biskup memfiski *in partibus infidelium* i na tem stanowisku był wikaryuszem jeneralnym i oficyałem, tudzież kustoszem kapituły metropolitalnej lwowskiej oraz rektorem seminaryum. Dnia 22-go stycznia 1895-go r. kniaź biskup Puzyna po śmierci śp. Jego Eminencyi ks. kardynała Dunajewskiego wyniesiony został na stolicę biskupią krakowską, na której też zastało go obecne najwyższe dostojnictwo kościelne, kardynalstwo. Jego Eminencya jest w tej chwili obok J. E. kardynała Ledóchowskiego drugim polskim kardynałem w świętem kolegium rzymskiem.

Opłakane stosunki.

(Ciąg dalszy).

Tak tedy, jak nęcącem było pytanie, jak wielkim ten ciężar procentowy, to jednak drugie pytanie, które się tu ciśnie nieodparcie, jest nierównie ważniejsze i interesowniejsze, a mianowicie: dlaczego i z jakiego tytułu są tyle dłużne te dwie kategorye własności? Gdzie leży obszar, z którego stacza się ich ciężar hypotekarny i je obejmuje?

Patologicznym momentem w życiu ekonomicznem obu omawianych kół jest to, co tu poruszam i uwaga Panów jest tem pewniejszą, że mam do czynienia ze zgromadzeniem, które odznacza się powagą swego zajęcia.

Wiecie Panowie, że długi hypotekarne wykazują w ogólności dwojakiego rodzaju świadectwa pochodzenia. Są one albo dziećmi planu gospodarczego albo dziećmi biedy. W pierwszym wypadku są one upragnione jako nadzieja dla swoich; w drugim jednak wypadku zjawiają się mimowolnie jako postrach swego właściciela i muszą przystęp do księgi gruntowej wywalczyć sobie dopiero orężem egzekucyjnej intabulacyi. Jak tedy stoi sprawa z pochodzeniem długów małomieszczanina i wieśniaka obu naszych krajów? Znamy przecież charakter obu socyalnych kategoryi, które w Galicyi i na Bukowinie są właściwymi podmiotami obdłużenia.

Ani oznaczony żyd, o którym ja myślę, mianowicie ów typowy reprezentant bukowińskiego i galicyjskiego mieszczanina, którego wszyscy znamy, ani włościanin naszych obu krajów nie cierpią nadmiernie albo nawet tylko znacznie na ekonomiczny popęd odważnego zmysłu przedsiębiorczości. Są oni obydwaj konserwatywnymi, obydwaj niewymagającymi, obydwaj wegetacyjnymi. Z swoją dziedziczną skłonnością do zadowolenia, nie pożądają niczego, co leży poza ich przyzwyczajeniem i dlatego tylko bardzo rzadko przystępuje do nich ten kusiciel, który promień z blasku innych skierowuje w nasze koło, ażeby go użyć jako cierń do zaspokojenia naszej duszy, ażeby nas pobudzić do przekroczenia naszej zdolności wydatkowej.

Nadzieja wieśniaka i jego tęsknota, cała treść jego życia duchownego, jest wypełniona przez kościół, ku któremu on słusznie z pokorą spogląda. Żyd znów, przez pierwszą połowę swego życia stara się poznać ducha talmudu, ażeby w drugiej połowie zbytkować w tych perłach, które on niegdyś wyniósł z głębin tego myślowego oceanu, który żyda małego miasta jeszcze zawsze do siebie magicznym czarem pociąga i zabarwia go ideologicznie.

Lecz jak powstaje przy takiej właściwości tych kół ludowych główna część ich hypotekarnego obdłużenia? Powstaje ona w procesie nieustannie przed się idącej metamorfozy, która charakteryzuje stan długów bukow i galicyjskiego małomieszczanina i wieśniaka i która stale ich długi osobiste przemienia w długi hypotekarne.

Z pewnością, oni obawiają się i unikają z wszelką starannością każdego obdłużenia swej realnej własności, ale zanim to jeszcze uświadomią sobie, zapędza je obdłużenie na manowce i wnet zjawia się *memento mori*, które nie opuszcza już ich więcej.

Termin zapłaty jest końcem ich spokoju a początkiem biedy, gdyż oni w regule nie mogą płacić i podczas gdy płacą procenta a kapitał dłużny tymczasem nie maleje, stanęła za nimi z pierwszą prolongatą istota obdłużenia, ażeby potem przy drugim i trzecim terminie zapłaty wedrzeć się w formie egzekucyjnej intabulacyi na dach ich domu i srożyć się później, a w końcu postawić ich przed gołem Nic.

Słuchajcie dat, w których huczy jak od spadającego gruzu i ruin. W pięciu latach od 1894—1898 wynosiła liczba wszystkich hypotekarnych wypadków obciążenia w małej ziemskiej posiadłości Galicyi w ogóle 232.459 a na Bukowinie 29.326. Z tego drogą egzekucyi dostało się do księgi gruntowej w Galicyi nie mniej jak 132.737 t. j. 53 proc. a na Bukowinie 18.459 tj. 63 proc. wszystkich wypadków obciążenia.

I zechciejcież zauważyć dobrze, że podczas gdy liczba wypadków egzekucyi w małej posiadłości ziemskiej całej reszty Austryi razem wynosi tylko 20 proc. ogólnego obciążenia, to powtarzam — w Galicyi wynosi ona 57 proc. a na Bukowinie 63 procent.

Jeszcze więcej. Mała posiadłość ziemska na małej Bukowinie jedynie wykazuje o 1051 przymusowych wciągnień w księgę gruntową więcej, aniżeli taka posiadłość w czterech krajach razem wziąwszy: w Salzburgu, Karyntyi, Voralbergu i Sląźku, które mają półtora raza większą powierzchnię ziemi, a trzy razy tak liczną ludność.

Całkiem podobny jest stosunek w Galicyi, która jest największym krajem Austryackim, lecz także równocześnie, co z uwagi na nierozumne szyderstwa, z jakiem dziś tak często występuje się przeciw temu krajowi, wyraźnie tu zaznaczam, wraz z naszą Bukowiną najbiedniejszą a przezto najbardziej pomocy potrzebującą częścią naszej monarchii.

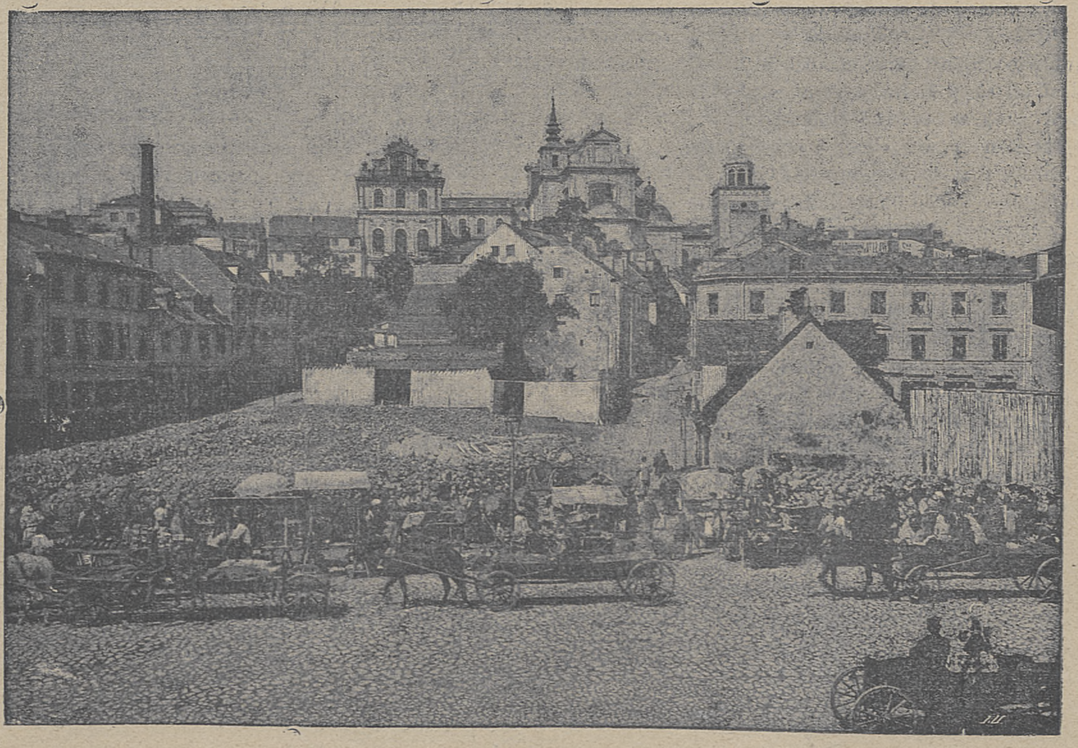
Galicya liczy swej małej posiadłości 18.288 wypadków egzekucyjnej intabulacyi więcej, aniżeli dziesięć krajów: Dolna Austrya, Górna Austrya, Salzburg, Styrya, Karyntya, Kraina, Pobrzeże, Tyrol, Voralberg i Śląźk razem.

Tak samo pouczającą rzeczą jest wartość pieniężna tych wypadków egzekucyjnych. Wynosi ona na Bukowinie 2,120.776 złr., a w Galicyi 14,745.596 złr. Mała więc własność ziemska na Bukowinie jest dłużną z tytułu przymusowej intabulacyi o 60.208 złr. więcej aniżeli Karyntya i Śląźk, a Galicya jest dłużną o tyle, ile Dolna Austrya, Górna Austrya, Salzburg, Styrya, Karyntya, Kraina, Voralberg i Śląźk razem.

Z jeszcze ciemniej okazującym się stanem spotykamy się odnośnie do podobnego rodzaju obciążenia miejskiej własności w obu naszych krajach.

Liczba egzekucyjnych wypadków obciążenia wynosi w miejskiej własności Bukowiny 3155 z 5671 wypadków obciążenia w ogóle, a w Galicyi 15.674 z 40.583 intabulacyi w ogóle.

Stosunek procentowy przymusowego wciągnięcia w księgę gruntową w anologii do dobrowolnego, wynosił więc w Galicyi więcej jak 51%, a na Bukowinie nawet 60%, podczas gdy w miejskiej własności całej reszty Austryi wynosi on tylko ściśle 25%. Więc także w momencie obłużenia miejskiej własności mają oba nasze kraje i gwałtowne i smutne pierwszeństwo przed wszystkimi innymi krajami naszej wielkiej ojczyzny i będzie dobrze, jeśli się te cyfry zapamięta nietylko u ludności, ale i u góry, aby odnośnie do Bukowiny, a także — i powtarzam to bez obawy — odnośnie do Galicyi wiedziano wkońcu, że się stoi tu przed przedmiotami wspólności, przy których raczej każde silne uczucie naglącej gotowości pomocy należy umieścić a nie obojętność z góry, albo szyderstwo i zazdrość z dołu. Nasza Bukowina, która co do w całości lub w połowie miejskich miejscowości, wykazuje tylko 82 gmin, ma o 11 wypadków egzekucyjnej intabulacyi więcej aniżeli Karyntya, Styrya i Morawy razem, które mają 81 miejsc targowych i miast, między temi Graz, Berno i inne, a Galicya z swymi 83 miastami i miejscami targowymi wykazuje w miejskiej własności egzekucyjnych intabulacyi o 1651 wypadków więcej aniżeli 11 bogatych w miasta krajów: Dolna Austrya, Górna Austrya, Salzburg, Styrya, Karyntya, Kraina, Pobrzeże, Tyrol, Voralberg, Morawy i Śląźk razem, które mają 276 ma-



Ulica Marienstadt w Warszawie.

łych i wielkich miast, między temi: Wiedeń, Berno, Graz, Tryest, Opawa, Linz i wiele innych znacznych gmin.

A jak liczba tych wypadków, tak i ich wartość pieniężna posiada wielką siłę pouczającą, gdyż własność miejska na Bukowinie, a więc 12 po większej części nieznacznych miejscowości jest dłużnych z omawianego tytułu o 7550 zlr. więcej, aniżeli 76 miast i miejsc targowych Górnej Austryi, Salzburga, Karyntyi i Ślązka, a 83 cało- i półmiejskich miejscowości Galicyi jest dłużnych w tym względzie o 22.100 zł. więcej aniżeli wszystkich 110 miast i targowisk Górnej Austryi, Salzburga, Styryi, Karyntyi, Czech i Moraw.

Te cyfry, które mimo swej suchości nie mogą nużyć, są ceficyentami rozwiązania w własności obu omawianych kategoryi posiadłości w Galicyi i na Bukowinie i są równocześnie na drodze pasyjnej wieśniaka i małomieszczanina u nas i wyciskają znaki potu, które formalnie krok za krokiem wykazują powstanie i wzrost stosunkowo olbrzymiego długu hipotecznego. Dług ten zanim mógł rozpocząć swą niszczącą działalność w posiadłości tych ludzi, był po większej części długiem osobistym i wszechpotężnie najpierw zakreślając znaki swego powstania, przemienił w dług hipoteczny.

(Dokończenie nastąpi).

Rafael.

ZWĄTPIENIE.

Jak mi smutno... Cichość wielka wkoło
Rozlała spokój, tajemniczość smętną;
W szyby dzwonią deszcze niewesoło
Elegią cichą, to skargą namiętną...
W szyby dzwonią deszcze pogrzebowo,
Przed oknem czarne kołyszą się drzewa...
Smutnego bytu tajemnicze słowo
W drzewach i deszczach i wszystkiem rozbrzmiewa...

Smutnego bytu tajemnicze dzieje
Głosi mi cisza i cienie... brak słońca...
Ideał jasny w oczach mi maleje,
Widzę li ciemnie i ciemnie bez końca..
Widzę w tym świecie zawiłe zagadki,
Widzę nie piękno przez ludzi wyśnione
Lecz li iluzyi eteryczne siatki,
Cudnie w fantazyi spichrzach rozwieszone...

Tylko mamideł nieuchwytne rysy,
Nieistniejące boskich rojeń światy...
Zwątpiłem... Widzę li wkoło cyprysy
I jakieś czarne, tajemnicze kwiaty...
I czarna mara ociska mi serce
Roniące krople wiary utraconej;
Kradnie mi krople, kradnie po iskierce
Idei, szczęściem — bolem wypieszczonej...

MICHAŁOWICZ TADEUSZ.

Dwie dusze.

W niebieskim ekspedycie siedział anioł w urzędowej czapce i oddawał aniołowi-woźnemu dusze, które miały być tego dnia ekspedyowane na ziemię.

Aż uginał się woźny pod ciężkiem brzemieniem, taka moc była duszyczek; a wszystkie jasne, czyściutkie.

Chociaż niektóre z nich były już przenoszone, pocerowano je, wyprano starannie, zaopatrzono w etykietę niebieską i zapieczętowano siedmioma woskowemi pieczęciami.

Woźny zaniósł duszyczki do wielkiej sali i naładował na małe wózki zaprzężone bocianami.

Na każdym wózku usiadł anioł, machnął skrzydłami zaciął bociany i poleciał po niebie na ziemię.

Ostatni wyruszył najmłodszy, którego pierwszy raz użyto do „służby zewnętrznej“. Musiano to zrobić, gdyż nawał pracy był wielki, zaś restancya w tych sprawach jest niemożliwą.

Młody wysłaniec jechał zamaszyście i z podziwem patrzył na cuda rozsiane po niebie.

Zobaczył Lewiatana i Ortona przepasanego jasną wstęgą i Wielki wóz zawieszony na niebie.

Nie patrzał już na drogę, puścił lejce z dłoni...

Tam z boku jedzie jakiś anioł z pełnym wózkiem! Co on wiezie?

I zagapił się...

Tymczasem bociany nie kierowane wcale, zboczyły trochę.

Anioł był w kłopocie i zadrżał na myśl, że przez jego nieuwagę opóźni się transport.

Załamał ręce i począł płakać.

Szczęściem jednak dla niego, nadjechał kolega, który zobaczywszy wypadek, pospieszył mu z pomocą.

Wspólnie podnieśli wózek i poukładali w nim duszyczki. Przypadek jednak zrządził, że anioł pomagający upuścił przez nieostrożność jedną ze swoich dusz fatalnego wózka. Nie spostrzegłszy tego, pożegnał pięknie kolegę i każdy z nich ruszył czemprędzej swoją drogą.

Gdy młody anioł przybył na ziemię, porozności szybko wszystkie dusze podług „filury“.

Wkońcu przybył w ostatnie miejsce do ubogiej kobiety.

Patrzy w półkoszki: a tam leżą jeszcze dwie dusze.

Hm! — przecież bez kozery nie dał mu urzędnik o jedną duszę za wiele!

Nie namyślając się tedy, włożył obie w piersi dziecka.

Jedna z tych dusz miała napis „wesoła“, druga była duszą starego melancholika.

Ją to właśnie zgubił anioł, wiozący z ziemi transport dusz nieboszczyków.

Matka była wprost przerażona swojem dzieckiem, gdyż śmiało się i płakało równocześnie.

Gdy chłopiec już wyrósł, mówili o nim ludzie, że niesamowity i szalony.

Ale on nie był szalonym, jeno miał dwie dusze.

Jedna płakała w nim, druga śmiała się serdecznie.

Pamiątka.

Miałem raz przyjaciółkę.

Była piękną, jak widziadła snów młodzieńczych, jak księżniczka z cudownych baśni, utkanych z tęczowej pajęczyny fantazyi. Miała włosy złote, rozlewające się strumieniem po białych ramionach, po piersiach zaróżowionych. Rozrzucała je swawolnie i nakrywała nas oboje strumieniem wiotkich nitek złotych.

A z poza tej sieci złotej, w której mnie uwikłała, wyglądał do mnie niekiedy świat cały, widziany przez mgły rozkoszy, obejmujące moje oczy.

Świat blady... znikomy... jak światło dnia pochmurnej jesieni, gdy błotno i dżysto na dworze, a wiatr kości zmraża i siecze chłodem po twarzy.

Bo poza nią nie było mi słońca, ni nieba jasnego, ni tęczy, w uśmiechu otwierającej ramiona.

Gdy wchodziła do mojego pokoju, szła za nią światłość dziwna ukojenia, poweselały smutne ściany, uśmiechały się stare portrety, długim rzędem porozwieszane.

Jeden tylko skrzydlaty jaszczur japoński patrzał na nią niechętnie rubinowemi oczyma i wyszczerzał koralowe zęby, jak gdyby chciał ją ukąsić.

Wielki... olbrzymi smok...

Ale ją to bawiło, gdy kładła się u stóp potwora, wylęgłego w chorej fantazyi artysty. Była wtedy, jak ofiara pogańskim bóstwom złożona. Oczy jej patrzyły daleko przed siebie, jakgdyby przeniosła się myślą w możliwość bajki cudownej.

Oczy wielkie, z zielonym połyskiem, drżące pod ciemnemi rzęsami migotliwym blaskiem fal morskich...

Przerażony unosiłem ją stamtąd, a ona — jak dziecko zbudzone z dręczącego snu — obejmowała mnie drżącemi rękoma za szyję i płaciła swemu wybawcy miłością.

Jak księżniczka z bajki...

Raz przyszła jej fantazya dziwaczna. Zamówiła u złotnika szpilkę do krawatki z podobizną jaszczura. Nosiłem ją codziennie jako pamiątkę.

Dzisiaj stała się ona dla mnie wspomnieniem.

Przeżyłem wiele rozkosznych dni — zanim zniknęła mi z oczu.

Stało się to tak nagle.. bez pożegnania...

I było mi żal za nią, za światłem, za bajką, za snem.

Ach! — jak żal!...

Raz w Krynicy, na deptaku, spotkałem pewnego znajomego. Zapuściliśmy się w rozmowę, lecz nagle zamilkliśmy obydwaj i poczęliśmy badawczo na siebie spoglądać.

Mój znajomy spytał pochmurnie:

— Skąd pan masz tę szpilkę?

— Właśnie chciałem pana o to samo zapytać.

Kilka wyjaśnień — uścisk dłoni.

Rozeszliśmy się jak przyjaciele, ale we wspomnieniach naszych mieliśmy już skazy.

S. Libelt.

Z Jawy.*)

I.

Po strasznie spędzonych dwudziestu dniach na Oceanie, nareszcie widać upragnione Indye holenderskie. Naprzeciw nas Samatra z portem Padang.

Co za bujna wegetacya. Jak jaskrawo błyszczą pnie prastarych olbrzymów drzewnych. Dziwnie, że właśnie taką jaskrawą farbę kory przyjęły w pośrodku najjaskrawszych promieni słońca, w gorącej krainie brunatnego człowieka. Lasy liściaste pokazują nam się w dziwnie rozdartych konturach, ciemne, a pomimo tego błyszczące, zielone, mienią się w ceglanych i żółtych farbach.

jest pochowanym kontynent przeszłości, a gdzie przez niewidzialne siły wulkaniczne nowe powstają granice lądu.

A noce! Gdzieby znaleść słów, by módz opisać blask fosforyczny na burzą przepełnionym horyzoncie?

Srebrne grzebienie bałwanów wznoszą się w pewnych pauzach z głębokich ciemności, a miliony iskier w długich strugach



MARYSIA.

Piękność natury podzwrotnikowej w dzień — i wspaniała cisza nocy, oświetlona błyskawicami, nastrajają dziwnie europejską duszę. Wzrok nasz upaja się kwitnącymi brzegami wysp malajskich, pomiędzy którymi płyniemy.

Tu i ówdzie ujrzysz pomarańczowo-żółty lub czarny żagiel łodzi malajskiej, szeroko i niezgrabnie zbudowanej, a na niej na pół nagich, silnych krajowców, z ogromnymi, na kształt tarczy — niebieskimi kapeluszami.

W cudnie fioletowych farbach zdaje się morze przytulać do najbliższych wysp i wysepek. Cichutko tylko oddycha nad niezgłębionemi przepaściami, w których z nich wyrzucone, bawią się naszym okrętem.

Przejeżdżamy obok wysokiej żelaznej latarni morskiej, która nas zawiadamia, że wnet mamy stanąć w porcie Batawii. Stopniowo ginie chłodny, świeży poranek. W dali wynurzają się wulkany Jawy, otoczone obłokami, tak że czasem ci się zdaje, że wierzchołki ich wiszą w powietrzu. Godzina dziesiąta; statek nasz zarzuca

*) Pan Stanisław Libelt, wnuk znanego naszego filozofa Karola Libelta, zajęty jako inżynier na wyspie Jawie, zamieszcza niniejszą piękną i barwną korespondencyę.

kotwicę, i stoimy u celu naszej morskiej podróży w nowo założonym porcie Tandjunk Prick.

Pomimo, że w ostatnim czasie literatura podróżna całego świata przybrała ogromne rozmiary, pomimo bajecznych komunikacyj, pomimo ogólnego interesowania się takim krajem jak Jawa, świat europejski wie tylko bardzo mało o przeszłości, a nawet o teraźniejszości krain podzwrotnikowych. Historya ich dotychczas prawie wcale nie zbadana, a charakter i życie ich mieszkańców bardzo miernie wyjaśnione.

Jakże sobie n. p. wyobrazić można, że garstka białych urzędników i plantatorów jest w stanie rządzić nad 25 milionami ludzi? Prawda że ci urzędnicy są to ludzie, którzy słowa z uczynkami łączą i nadzwyczajnie trzeźwo się zapatrują na postępy kolonizacyi, pomimo, że z drugiej strony umieją być nadzwyczaj energiczni, niepotrzebnych sentymentalności nie znają.

Europejczyk czuje się na Jawie daleko bezpieczniej jak n. p. w Indyach angielskich. Jakże sobie tłumaczyć, że szczęśliwe kraje pod egidą holenderską, żyją obecnie w stadyum takiej kultury, że ona ich coraz ściślej łączy z Europą?

Jaka przyszłość czeka jeszcze tę wyspę, która pomimo swych ogromnych bogactw, nie znajduje się w bardzo szczęśliwem położeniu politycznem?

Krótkie notatki podczas mego pobytu na Jawie, niechaj posłużą za krótką odpowiedź na powyższe pytania.

Nie ma jeszcze trzystu lat, kiedy jednostki szczepu germańskiego poszły w ślady Portugalczyków i zaczęły się osiedlać na Jawie. Dopiero w r. 1610 niejakiś Pieter Roth, założył Batawię, w pobliżu starej stolicy Jacatra (miasto zwycięstwa) nad rzeką Tjihwung. Z początku trudno było przepowiedzieć, który naród europejski wyprze pierwszych kolonizatorów z ojczyzny Vasco de Gama, czy Francuzi, Holendry lub Anglicy. Ostatni nie myśleli jeszcze wtedy o wywalczeniu sobie potęgi morskiej na wschodzie. Dopiero później, widząc niedołężność innych narodów, poczynili na Jawie wojenne kroki. Wtedy to świat indomalajski tworzył dla Anglików daleko powabniejszy cel, aniżeli państwo wielkiego Moguła, pomimo tego rząd holenderski umiał się oprzeć ich wpływowi.

W przeciągu połowy jednego stulecia ludność na Jawie pomnożyła się pięciokrotnie, a jednak udzieli Jawa jeszcze na bardzo długie lata dostatecznej żywności dla przyszłej generacyi, jeżeli miliony Chińczyków nie zaleją wyspy, co może być bardzo prawdopodobnem.

Ocean Wielki ze swemi uroczemi i czarownemi wysepkami od dawna jest ponętą dla żółtych synów nieba, którzy nie mogąc znaleść wyżywienia w swej ojczyźnie, osiedlają się na gościnnej malajskiej ziemi.

Port Batawii jest dopiero bardzo niedawno zbudowanym. Konkurencya Singapury spowodowała Holenderczyków do wydania 12 milionów florenów na założenie portu w Tandjok Prick. Mniej więcej 850 okrętów rocznie tu przybywa, z których dwie trzecie parowce, a jedną trzecią część żaglowce zajmują. Coraz to więcej widać w ostatnim czasie na masztach chorągwi norwegskich, włoskich i niemieckich, a nawet austryackie zauważyłem.

Aż do roku 1825 zabezpieczył rząd holenderski monopol na Jawę li tylko Holenderczykom, dopiero później handel portowy i innym krajom został otwartym. Ogromne cło nakładają na opium, strzelby i proch, których to towarów bez pozwolenia rządu absolutnie wprowadzać nie wolno. Również ostro zakazanym jest wywóz zbiorów archeologicznych.

Handel w środku Jawy prowadzą Arabowie i Chińczycy; ostatni mianowicie przypominają żydów naszych, po większych miastach mają osobne ulice.

Jeszcze w 17 stuleciu nie było Chińczykom dozwolonem prowadzić handlu na większą skalę. W ostatnim dopiero czasie, z powodu indolencyi Jawanów do jakiegokolwiekbądź rzemiosła, nie masz na Jawie lepszych kowali, cieśli, krawców, szewców etc, nad Chińczyków.

Historya Jawy równa się prawie z historyą całych Indyi. Początek jej ginie w mrokach przeszłości, a prawie każdy kawałeczek ziemi ma swoje podanie.

Geograficzne położenie Jawy znanem już było w drugim wieku po Chrystusie Ptolemeuszowi. Chińczycy i Hindusowie znali Jawę jeszcze przed narodzeniem Chrystusa. Fenicyanie i Aleksandryjczycy zwozili z Jawy najróżniejsze korzenie, a jako potomkowie ich nastąpili Arabowie, którzy z rasą malajską poznawszy się na Magadaskarze i Czerwonem morzu, zaprowadzili tam naukę Mahometa. Z Europejczyków wdarł się pierwszy podróżnik Marco Polo, a w XIV wieku przybył tu Wenecyańczyk Nicolo Conti, który przeszedł na wiarę Mahometa.

Prawdopodobnie Portugalczycy nie byliby tak prędko zwrócili uwagi na Jawę, gdyby nie poselstwo przybyłe do ich kolonii azyatyckich, proszące o pomoc przeciw coraz więcej się szerzącej nauce Islama.

Wdarli się tedy na Jawę i tak dali podstawę do wmięszania się państw europejskich w ten im dotychczas nieznany świat hindomalajski.

Chcąc począć opis Batawii nie podobna nie nadmienić romantyczno-dramatycznego epizodu z zeszłego stulecia.

Krajowcy nie mogli długo pogodzić się z myślą, że Europejczycy mają być panami kraju. Mianowicie pewien kreol, Piotr Elberfeld, syn niemieckiego awanturnika i Jawanki nie wiedzieć z jakich powodów czuł wstręt i pogardę do wszystkich Europejczyków.

Pięciu starszych braci poszło w ślady ojca, a młodszy poczuwał się do jakiegoś dziwnego patryotyzmu. W takiem usposobieniu spędził kilka lat życia. Nareszcie przyszedł czas, gdzie chciał zrzucić z siebie i z braci swoich jarzmo europejskie.

Urządził spisek, do którego się przyłączyło około 30.000 krajowców, a pomiędzy nimi kilku książąt jawajskich.

W największej tajemnicy wszystko było przygotowywane. Wszystkim białym groziła śmierć.

Spisek jednakże został wykryty dzięki pewnemu Romeo i Julii z Batavii.

Eberfeld miał cudowną siostrzenicę Midę, która była po jawajsku wychowaną. Zakochała się ona w pewnym oficerze holenderskim, znając jednakże wstręt wuja do Europejczyków, czekała na okazyę, by módz z jego domu uciec. W tym to czasie podpadły jej nocne schadzki w domu Eberfelda, o których narzeczonemu swemu powiedziała.

Przywódców spisku schwytano i skazano na śmierć, a winnym książętom ucięto najpierw prawą rękę, a później głowę. Eberfelda końmi rozdarto. Działo się to r. 1722, a miejsce egzekucyi po dziś dzień uchodzi za przeklęte.

Jesteśmy po dwudziestu minutach jazdy koleją w Batawii.

Stroje krajowców, a przedewszystkiem płci pięknej, błyszczą farbami tęczowemi. Przeważa farba żółta i czerwona.

Na głowach mężczyzn różnokolorowe turbany. Bawełniane i jedwabne „sarong" (suknie malajów), najróżniejsze przedstawiają kolory. Aby zrozumieć, w jaki sposób kilkanaście kolorów na jednym saron gu uwydatniają, trzeba się przypatrzeć robocie tegoż. Biorą szmatę bawełnianą i częściowo pokrywają woskiem, następnie maczają ją w pewnej farbie. Po uschnięciu powtarzają tę procedurę dopóty, dopóki nie otrzymają kolorów, podobnych do okien gotyckich kościołów.

Tysiące Jawanów przesuwa się szerokiemi ulicami, które alee ogromnego parku przypominają, w którym domy europejskie płotem ogrodzone, nikną jakby w morzu kwiatów.

Pierwsze wrażenie dla Europejczyka jest tak dziwnem, że z początku obawia się wejść po zakupna do sklepu, które więcej na wspaniałą willę wyglądają, aniżeli na sklep obuwia lub cygar.

Pomiędzy ceglanymi mostami na kanałach Rijzwyk i Molenolici w dzielnicy europejskiej widać kąpiących się Jawanów i nadobne Jawanki, jednokonne wózki o dwóch kołach sprawiają funkcye fiakrów. Zdala nadjeżdża tramwaj parowy, napełniony brązowemi twarzami, podobnemi do włoskich, sympatycznego wejrzenia. Pomiędzy niemi ujrzysz z ogromnym słomianym kapeluszem, w czarnym ubraniu i sukiennych trzewikach, nadętą figurę Chińczyka.

Tu i owdzie spotykasz na ulicach na pół ubrane dzieci europejskie, a nawet dorosłe kobiety noszą wprawdzie wygodne, lecz podług naszych pojęć trochę ryzykowne kostiumy, tak że z początku się przestraszyć można: zarzutka, a pod nią koszulka c'est tout.

Holendrzy tak powiadają: Europejczycy, żyjący pod zwrotnikiem, powinni sobie koniecznie przywłaszczyć w najdetaliczniejszy sposób, zwyczaje i sposób życia krajowców; zadawać sobie gwałt antyhygieniczny, jeżeli się na dłuższy czas do kolonii przybywa, to śmierć.

(Dokończenie nastąpi).

Zdzisław Dębicki.

Z motywów wiosennych.

Pod życiodajnem ciepłem wiosennego słońca
Pierś ziemi się odradza, nowem życiem tętni — —
Idzie już ku nam, idzie Pani jaśniejąca,
Gdzie stąpi, świat wygląda weselej, odświętniej...

Chwieją się po zagajach brzozy i grabina,
Wierzby nad strumieniami prostują ramiona.
Nowej Wiosny nadchodzi weselna godzina,
Nowej Wiosny weselny dzień się rozpoczyna!

Drażniący nozdrza zapach bije z ziemi łona,
Zagony się zielenią młodą runią żyta,
Łąka wokół kwiatami barwnymi zakwita — —
Wśród zieleni i kwiecia cicho stąpa Ona,
A wiatr jej śpiewa polny: „Bądź błogosławiona!“

Kłania się przed Nią wszystko i wszystko jej śpiewa,
A Ona — Pani jasna — po ziemi wszerz chodzi,
Cała w zórz pozłocistych skąpana powodzi:
Blasków, świateł, barw, woni i dźwięków ulewa —
Kłania się przed Nią wszystko i wszystko Jej śpiewa...

Wiosno, co ku nam idziesz w weselnym rozgwarze!
Potęgą swojej twórczej, niepożytej siły,
W duszach naszych zwalone podźwigaj ołtarze
I sercom, co zastygły, każ, by znowu biły!

Wiosno, co ku nam idziesz, jak królewska Pani!
Oto ludzkość za światłem słonecznem stęskniona!
Nadzieją świtu brzmiący głos Ci śle z otchłani:
„Nowego wieku Wiosno! Bądź błogosławiona!“

J. A.

Fizyologia uznania.

Pewien głośny adwokat, gdy go raz publiczność oklaskiwała, przerwał mowę i zapytał: „Oklaskujecie mnie, czyżbym jakie głupstwo powiedział?

Nie należą bynajmniej do rzadkich wyjątków takie umysły, które, jak ów świetny mówca, pogardzają sądem publiczności, hołdując arystokratycznemu zdaniu poety: „Podoba mi się tylko, co się nie podoba tłumom“.

Ale jest-że ta pogarda szczerą?

Pomijając kilka rzadkich patologicznych wypadków mizantropii, trudno temu uwierzyć. Niejedna wyższa inteligencya przez chęć pozowania lub ze snobizmu, pogardliwą nazwą filistra zamianuje wszelką indywidualną jednostkę, stanowiącą cząstkę składową zbiorowej istoty, którą zwiemy większością; ale w gruncie rzeczy świat liczy się z filistrem, szanuje go, gdyż on to właściwie rozdaje palmy tryumfu i wawrzyny sławy. Dziś wszelkiemi siłami pragniemy i dążymy do uznania, a przynosi nam je masa.

Dopiąć tego, żeby świat o nas mówił i słowa nasze rozważał, stanowi nietylko powszednią ambicyę przeciętnej głowy, ale i usprawiedliwiony ideał najskromniejszych i najwybitniejszych myślicieli. Różnica między dwoma tymi rodzajami ideałów, polega tylko na drogach dochodzenia do nich.

Andrea Sperelli, bohater powieści Gabriela d'Annunzio, marzący o wydrukowaniu swej książki w jednym tylko egzemplarzu, któryby ofiarował żonie, aby reszta świata nie dowiedziała się, co on napisał, jest może prawdziwym ale nieprawdopodobnym typem. Spolaryzować na jedną osobę całą moralna i duchową czynność jest czemś, co się zdarza czasami pod wpływem namiętności, ale jak sama namiętność, tak też i fakt podobny jest efemeryczny i chorobliwy. Rzeczą jest czasu i medycyny leczyć te wyjątki.

Kto nie ulega zboczeniu umysłowemu lub zbyt oryginalnym popędom, ten pragnie, by jego książka, jego sztuka, jego obraz, miały wziętość, były podziwiane. I w nadziei na zdobycie tego uznania filistrów pracuje, myśli i walczy.

Niezależnie od nas, publiczność jest owym „Minosem“ naszego ziemskiego piekła, pierwszą i ostatnią instancyą, ale sposób jej sądzenia jest rozmaity, choć mniej więcej słuszny, zależnie od tego, czy wyrok wydany zostaje zbiorowo i jednocześnie, czy też pojedyńczo i w różnych odstępach czasu. To jest, publiczność, wyrokująca o jakiemś dziele, może być rozstrzeloną lub zjednoczoną, może przedstawiać ten rozczłonkowany organizm, który się zwie opinią publiczną, lub jednolite ciało, które się zwie masą.

Książki nie sądzi się, jak mówcę: książkę czytają ludzie pojedyńczo, w samotności, spokoju, wytwarzając sobie o niej zdanie; sztuki słuchają zebrani słuchacze, którzy bezwiednie zapytują i odpowiadają sobie, stanowiąc jeden tysiącgłowy potwór.

Warunki więc sądu nie są jednakowe. Który z nich lepszy?

Zanim odpowiemy, postawmy jedno pytanie:

Czy poddawano kiedy badaniom chemii fizyologicznej te głośne wybuchy entuzyazmu, które grzmotami oklasków przy końcu występu rozlegają się w widowni teatralnej lub koncertowej sali? W takich chwilach zdaje się publiczności, że jest sprawiedliwą i szczerą, gdyż istotnie od czuwa te wrażenia, jakie okazuje. Ale czy to zasługa sztuki lub wirtuoza wywołuje te frenetyczne objawy uznania w słuchaczach? Czy też inne żywioły są przyczyną wylewu tych szumiących potoków zapału?

Każdemu znane jest to psychologiczne prawo i niezaprzeczona prawda, że siła podniecenia wzrasta w prostym stosunku do liczby osób, w jednem i tem samem miejscu i czasie odczuwających to podniecenie.

Przypuśćmy, że podniecenie, jakie odczuwa mówca na katedrze, da się liczbą 10 wyrazić i że przy pierwszych swych słowach, przy pierwszych przebłyskach swego krasomówstwa, udziela on przynajmniej połowę tej liczby słuchaczom, których jest 300

Przez oklaski, czy zwiększoną uwagę, każdy z nich reaguje, wskutek czego powstaje uczucie, które sprawozdania nazywają ruchem. Ale ruch ten przez wszystkich jednocześnie zostaje odczuty, albowiem audytoryum obchodzi słuchacza nie mniej, jak mówcę: i oto fantazyę jego porywa nagle widok tych 300 znajdujących się w podnieceniu osób. Podług więc powyżej przytoczonego prawa, w każdym słuchaczu budzi się prawdziwy zapał. W jakim stopniu? Gdyby nawet odczuwał połowę tego ruchu, to podniecenie udzielone mu przez mówcę nie wyniesie już 5, ale połowę 5-ciu, pomnożoną przez 300 czyli 750.

Obliczenie to chyba dostatecznie dowodzi, że wszystkie przez tłum wydawane wyroki muszą być nieodzownie przesadne, gdyż osobiste zdanie słuchaczów wskutek jednego faktu w obecności innych osób wzrasta do wysokiej potęgi. Liczba więc w tych wypadkach jest najpierwszym i najważniejszym koeficyentem powodzenia.

Znanym jest list, jaki Balzakowska Estera, to zepsute, bez serca dziecko, oczyszczone przez miłość, pisze do swego kochanka przed śmiercią. Zabija się, gdyż się sprzedała za 750.000 franków, które pozostawia swemu poecie, byleby nie był tak smutny i nad grobem jeszcze żartuje: „Któż będzie ci tak, jak ja, przedział robił we włosach?“

Powiadają, że Balzac, czytając ten list głośno, zawołał ze łzami w oczach:

— Jakie to piękne!

Czyż nie zdarzyło się każdemu z nas, nie będąc autorem, przy czytaniu rzewnej sceny doznawać wzruszenia? Ale ten prąd podziwienia, wychodzący z serca, któryby pod władzą udzielania się przeszedł w gorączkę zapału, gdybyśmy się znajdowali w teatrze lub sali, natłoczonej ludźmi, w ścianach samotnego pokoju zastygłby w naszej duszy.

Autor książki nie zna tych pojedyńczych objawów entuzyazmu, nie zna tej rozstrzelonej publiczności, która go podziwia; on nie może, jak autor sztuki teatralnej, być ogniskiem, w którem w jednej chwili wszystkie wrażenia, doznawane przez setki słuchaczy, zbiegają się razem, a każda z nich w istotnej swej wartości spotęgowaną jest podnieceniem sąsiada, obecnością masy... Dla tego też nieśmiertelny Mickie-



DZIKIE KOTY.

wicz nie zaznał za życia tej największej ujrzenia drżącej z zachwytu u nóg swoich, jak tego był świadkiem twórca Gasparone lub wielu innych, których sława z ich ciałem schodzi do grobu.

Bo co do Sienkiewicza, czyniono mu olbrzymie owacye były owocem obmyślonego scementowania rozproszonych uwielbiem ogółu.

Co innego jest więc oddziaływać na skupioną lub na rozstrzeloną publiczność. Jakiż jest lepszy warunek?

Subjektywnie, trudno dać tu odpowiedź, zależy to najzupełniej od osobistego usposobienia. Niektórzy lubią być witani radosnym okrzykiem masy, inni zadawalniają się pośrednim poznaniem uwielbienia, jakie dla nich tłumy żywią. Mascagni i Zola mogą być jednakowo w próżności swej lub usprawiedliwionej dumie zadowoleni: pierwszy, będąc świadkiem tych napadów szału, jaki ogarniał publiczność przy wystawieniu „Cavaleria Rusticana", drugi, gdy mu jego wydawca oświadczył, że w kilka miesięcy „Pogrom" doczekał się 150 wydań. Są to dwa wyroki świata, różne w objawach, ale identyczne w znaczeniu. Objektywnie, nie podlega żadnej wątpliwości, że sąd rozproszonej publiczności jest słuszniejszy i pewniejszy. Wyżej udowodniliśmy, że sąd masy wskutek jednego tylko współdziałania cyfry może być przesadnym. Tu zaś możemy dodać, że nieraz bywa on mylny. Psychologia masy rzadko kieruje się logiką lub zdrowym rozsądkiem. Okazya, przypadek, nieświadomość w większości wypadków stanowią o objawach. Okrzyk, ruch jednostki, wywołuje w innych ten sam okrzyk, to samo poruszenie. Zaraźliwość bywa w tych razach przerażającą. Dość gdy przytoczymy tu ogólnikowo przykład strachu panicznego.

Tak też i sąd, który uważamy za sumę zdań ogółu, jest poglądem pojedyńczej jednostki, która na razie staje się przypadkowym despotą masy.

„Czuję wstręt do tłumu", pisał nieszczęśliwy Guy de Maupassant, „nie mogę bywać w teatrze, ani na żadnej publicznej zabawie. Doznaję natychmiast dziwnie nieznośnego uczucia, przykrego wrażenia, jakbym całą siłą walczył przeciwko nieprzepartemu, tajemniczemu wpływowi. I istotnie walczę przeciw duszy tłumu, która wedrzeć się we mnie usiłuje."

Najdziwniejszym zjawiskiem, zachodzącem u tłumu, jest właśnie to zlewanie się odrębnych jednostek w jedną olbrzymią całość, różniącą się zasadniczo od każdej ze swych składowych części. Rzecby można, że każdy osobnik utraca zdolność myślenia i czucia, i staje się ślepem narzędziem nieznanego mózgu i nieznanej duszy. W tłumie człowiek klaszcze lub gwiżdże, woła „vivat" lub „precz" prawie bezwiednie. Wyciągnijmy tego człowieka z tłumu, a pierwszy będzie się dziwił z tego, co robił.

Należy tu dodać, że wszelkie objawy geniuszu przed tłumem narażone są na wielkie niebezpieczeństwa. Psychologia tłumu, podobna pod tym względem do psychologii kobiety, złożona jest z okrucieństwa i sprzeczności: przechodzi, raczej przeskakuje, w mgnieniu oka z jednego uczucia do drugiego.

Aktor lub mówca, źle wypowiedziany słowem wywołując śmiech w poważnej chwili, może na szwank narazić powodzenie mowy lub sztuki. Dramat, zaczynający się niezwykłem zdaniem, lub nadający się do gry słów, z pewnością nie znajdzie uznania. Przykład tego spotykamy w słynnem „O Salamini" tragedyi Alfierego.

Śmieszność zabija w tych razach wszystko, nawet sławę, chociaż pani de Staël twierdzi przeciwnie.

Jakież zaufanie należy pokładać w sądach bieżącego stulecia?

Wytrawny i subtelny krytyk może zarzucić, że ta różnica między sądami zespolonej i rozproszonej publiczności jest bardziej pozorną, niż istotną, oraz posiada więcej stopniowań, niż treści. W gruncie rzeczy zarówno książka, jak dramat ocenia się na zasadzie suggestyi. Nie oklaski lub gwizdanie stanowią o losach danego utworu, ale recenzya, artykuł dziennikarski, który w tym lub owym kierunku oddziaływa na setki, tysiące czytelników. Społeczeństwo nasze, jako też publiczność, jest nadzwyczaj wrażliwym organizmem; dąży ono owczym pędem za tym, który podaje sygnał i pozwala się hypnotyzować temu, kto najgłośniej krzyczy lub wysoko stoi.

Przypuszczenie, że opinia publiczna jest raczej sumą poglądów ogółu, niż pojedyńczej jednostki, która narzuciła wszystkim swoje zdanie, jest błędne, a wrzekoma swoboda i wolność sądu publicznego, jest tylko pyszałkowatem złudzeniem.

Oczywiste, iż zbiorowy sąd o książce wytwarza się stopniowo, w tym sensie, że wszyscy pojedyńczy czytelnicy udzielają sobie wzajemnie wrażeń i że osobiste ich zdanie tworzy się razem, jak rozmaite nuty łączą się w jeden akord. Jest to jednak harmonia rozwijająca się o krok za krokiem, łącząc podzielone i nie dające się łatwo przerobić poglądy w jedną całość, ale nigdy nie czerpie początku w wybuchu nieświadomej psychologii tłumu.

Dałoby się tu zrobić następne porównanie. W tych wypadkach osobiste zdanie jednostki przy zetknięciu się ze zdaniem innych ulega zmianie, jak ruchy pojedyńczej osoby w natłoczonej sali lub na ulicy podlegają pewnemu skrępowaniu wskutek obecności ludzi. W sądzie zaś wydanym odrazu i jednocześnie przez całe zbiorowisko (publiczność teatralną, zgromadzenie), panuje prawdziwy umysłowy i psychologiczny natłok, wykluczający wszelką swobodę uczucia i myśli, jak w tłumie bezpośrednie zetknięcie się ciał nietylko krępuje, ale uniemożliwia zupełnie wszelkie ruchy muskułów.

Dlatego też, o ile czujemy się lepiej wśród l u d z i, nie wśród t ł u m u — powinniśmy dbać więcej o sąd l u d z i, niż t ł u m u.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

Ostatnie przedstawienie „Halki" było połączone z debiutem p. Rojekówny w partyi tytułowej. Wszystkie arye Halki są już dzisiaj tak znane i popularne, że owładnięcie pamięciowe nie przedstawia wielkich trudności. Wykonanie natomiast musi być rzeczywiście doskonałe, aby zadowolnić chociaż przeciętnego słuchacza, który może nad każdem prawie tonem rozciągnąć kontrolę, dlatego też młode i niedościadczone siły debiutantki nie pozwoliły nam ani na chwilę wyjść z uczucia niepokojącej obawy, czy ta, lub owa arya uda się, czy nie zabraknie jej sił do równomiernego przeprowadzenia całej partyi. P. Rojekówna, mimo widocznej muzykalności, a nawet pewnej dozy werwu scenicznego, nie mogła podołać partyi Halki. Niewyrobiona i nikła zupełnie średnica głosu debiutantki gasła i stawała się zupełnie niedosłyszalną nawet przy cichym akompaniamencie orkiestry. — Kilka wysokich tonów nie mogło wynagrodzić tego, że pół partyi mimo największej uwagi nie mogliśmy usłyszeć. Potrzeba jeszcze wiele pracy nad sobą, a debiut niedzielny był bądź co bądź przedwczesny.

P. Drzewiecki odśpiewał partyę Jontka dobrze, tylko raziła nas pewna niejednolitość i chwiejność w wykonaniu partyi i zbyt wielkie folgowanie gustowi publiczności do jak najdłuższego przeciągania wysokich tonów...

Partyę Janusza odśpiewał p. Szymański znakomicie i z wielkiem przejęciem. On też jeden ratował całość zagrożonej opery.

* * *

Z niemałem zdumieniem spostrzegłem, że wszechstronna p. Z a p o l s k a, autorka nastrojowych artykułów p. t. „Do pięknych pań słów kilka", „O muzykalnych fokach", „O błocie magistrackiem", „Przez moje okno" i t. d., wzięła się z właściwą sobie kobiecą bystrością do muzyki i (już po raz drugi) w numerze „Słowa" z 19 kwietnia pisze oryginalne sprawozdanie muzyczne z koncertu urządzonego w teatrze na cele dobroczynne. Kilka banalnych nic nie mówiących frazesów o koncercie potrafi napisać każdy nawet zupełnie niemuzykalny człowiek, lecz, że krytyka wymieniona p. Zapolskiej jest s t e k i e m n o n s e n s ó w i krzywdzi tylko ocenianych artystów, ośmielam się tę sprawę poruszyć w nadziei, że p. Zapolska przecież już raz przestanie się wtrącać w niewoje sprawy ze szkodą dla prawdziwej sztuki (sprawa Czelański).

I tak pisząc o śpiewie pani Marek-Onyszkiewicz powiada sędziwa censorka sztuk i moralności społecznej:

„To samo da się powiedzieć i o pani Marek-Onyszkiewiczowej, która ślicznym, czystym, *szklanym* (?!) głosem odśpiewała aryę Goplany i poetyczną i wdzięczną pieśń Bersohna. Jeżeli m a m y c o k o l w i e k d o z a r z u c e n i a ś p i e w o w i p a n i O n y s z k i e w i c z o w e j, t o b r a k d u s z y, b r a k z u p e ł n y ż y c i a, k t ó r y n a e s t r a d z i e z w ł a s z c z a r a z i, g d y ż n a d a j e w t e d y m o n o t o n i ę w y k o n y w a n y m u t w o r o m."

I zapomina pani Zapolska, że brak tej drobnostki, tego „cokolwiek" jest główną podstawą śpiewaka, że tym sposobem odmówiła p. Onyszkiewiczowej wszystkiego, co najlepsze w śpiewie.

A zaraz w następnej linii zapomina o swoim zarzucie i naiwne dodaje: „będzie z niej w przyszłości jedna z główniejszych światowych śpiewaczek".

Wolność wysnuwania dalszych wniosków pozostawiam czytelnikom...

Ze świata.

Ivar Hallström, jeden z najcelniejszych szwedzkich kompozytorów muzycznych doby obecnej, zmarł w Stokholmie. Zmarły, po ukończeniu w Upsali wydziału prawnego na uniwersytecie tamtejszym, poświęcił się muzyce, skomponował mnóstwo pieśni, które odrazu stały się popularnemi. Był on twórcą szwedzkiej opery narodowej, jako kompozytor: „Książę Magnus i dziewica morza", „Deu Bergtagna", „Neaga" (libretto Carmen Sylvy).

*

Teatr w r. 2001. Jeden ze znawców teatru kreśli fantazyę następującą: „Jesteśmy w kwietniu r. 2001. Dopiero co zjedliśmy obiad i wstępujemy na *trottoir roulant*, który w ciągu paru miuut zawozi nas do *Pandramaticum*. Winda wznosi widzów jaknajszybciej na najwyższe galerye, gdyż schodów nigdzie niema, jeżeli nie będziemy brali w rachubę schodów bezpieczeństwa, które obok lamp olejnych bezpieczeństwa przypominają dawne urządzenia teatrów. W szatni oczekuje na widza szereg numerowanych wachlarzy. Wchodzimy do sali przez drzwi, kręcące się dokoła swej osi tak, że ani skrzypieć ani stukać nie mogą. Akustyka sali, w czwórnasób większej od sal teatralnych w XX stuleciu, spotęgowana jest przez dowcipnie skombinowane mikrofony. Pomimo zwiększenia rozmiarów sali liczba miejsc pozostała ta sama. Widzów, usadzonych amfiteatralnie, dzielą przestrzenie wolne, bardzo szerokie. Krzesła są tak urządzone, iż za naciśnięciem sprężyny każde z nich zmienia się w szeslong, na którym wyciągnąć się można wygodnie w razie znużenia. Na odległość ręki widnieje afisz, wipisany błyszczącemi literami na szkle matowem, tak, iż informacye afisza są dla publiczności dostępne nawet przy mocno zaciemnionej sali. Oczywiście każda z lóż jest tak zbudowana, iż można z niej patrzeć na scenę bez nadwerężania sobie karku. Za lożami są gabinety z telefotofonami, szatniami i podręcznemi biblioteczkami, zawierającemi libretta, treść i uwagi krytyczne nad sztukami, będącemi na repertuarze. Osobne urządzenia mechaniczne pozwalają na komunikowanie się za pomocą rur-wind z *foyer* i bufetem. Sala cała jest zbudowana z metalu, bez kawałka drzewa. Tyle zmian na widowni, cóż dopiero na scenie! Po skończeniu każdego aktu maszynerya elektryczna zmienia dekoracye. Budka suflera znikła, natomiast suflują fonografy tak cicho, iż widzowie nie słyszą podpowiadania. Akt nie może być dłuższy nad 30 minut, międzyakty trwają 10 minut najdłużej. Wszystkie bez wyjątku teatry są własnością narodową, każdy ma ściśle określony rodzaj repertuaru. Krytyków niema Publiczność sama zdaje sobie sprawę z tego, co słyszy i widzi, i sama wyrabia sobie sąd o sztukach. Miejsca w teatrach, zwłaszcza abonamentowe, są bardzo tanie. Jedno tylko pozostało, jak było: damy nie chcą zdejmować w krzesłach kapeluszy!

*

Autentyczny portret Pertrarki. Piotr de Nolhac przedstawił paryskiej akademii sztuk pięknych autentyczny portret Petrarki, który miał znaleść w jednym z rzadko przeglądanych manuskryptów francuskiej biblioteki narodowej. Jest to miniatura, wykonana z polecenia poety na kartę tytułową jednego z odpisów jego dzieł. Znaleziona miniatura otoczona jest notatkami, poczynionemi przez Petrarkę, i z nich właśnie można sądzić, że podobizna ta wykonana została na jego polecenie. Autentyczność miniatury ma nie podlegać wątpliwości. Według niej, rysy twarzy poety były szlachetne, regularne, a wzrok zamyślony i marzący. Może się teraz znajdzie i portret Laury, ukochanej poety. Petrarka mówi w jednym ze swoich sonetów wyraźnie, że posiadał jej miniaturę. De Nolhac sądzi, że jeśli gdzie, to tylko wśród manuskryptów biblioteki narodowej w Paryżu może się znajdować ten portret.

*

Monety z oślemi głowami. Numizmatycy poszukują obecnie bardzo gorliwie amerykańskich monet dziesięciodolarowych, bitych w r. 1880 w mennicy waszyngtońskiej. Na monetach tych widnieje orzeł amerykański, narysowany tak, że obrócony do góry nogami przedstawia wyraźną głowę osła. Monety te od lat 20-tu były w obiegu, skarb waszyngtoński wiedział o nich dobrze, nie wycofywał ich jednak urzędownie, aby nie wywoływać skandalu, ograniczając się niszczeniem ich w miarę napływu do kas skarbowych. Sprawcą tego figla był grawer, pracujący w mennicy amerykańskiej, wydalony ze służby za jakieś przewinienie. Mszcząc się, skorzystał z ostatnich dni pracy, skomponował owego orła amerykańskiego, który na odwrót daje wyobrażenie głowy oślej, i umieścił go na ostatnich monetach swego wyrobu. Figla nie zauważono i ośle głowy poszły w kurs na sumę kilkudziesięciu tysięcy dolarów, a tymczasem grawer, anglik z pochodzenia, corychlej wyjechał do Anglii. Od lat 20łtu dużo tych monet już wycofały kasy skarbowe, dużo jednak pozostało jeszcze w obiegu.

Bańki mydlane.

He... he! Kuba już w koszuli...
He... he! Jagoś boso!
Nowa „sierstka“ na „łysuli“..
A po ziemi, po matuli
Słonko stopa rosą!
Stąpa górką, chodzi dołem
Poprzez pola, łany!
A na polu poza siołem
Pług za pługiem świeci kołem,
Niby pas kowany!
Niby pasik z kołeczkami
Błyskają lemiesze!
A za słonkiem, za pługami
Dzwoni brona zagonami,
Skibny warkocz czesze!

He.,. he! Zieleń na wygonie!
Na wierzbinie „kotki“!
Zapachniało kwieciem błonie!
Zaśpiewały wodne tonie,
Zagrały opłotki!
Grają „ziaby“ nad jeziorem,
Szczyglik w krzaku drze się!
Płyną echa rozhoworem..
I kukułka woła borem!
Może szczęście niesie!
Raz.. dwa... cztery... „mendel“ cały!
Danać! moja dana!
I fujarki się ozwały...
He., he! Znam ją! „Konik biały!
Dziewczyna kochana!„

He... he! Znam ją... „Warkocz płowy...
Konik nóżką grzebie...“
Graj kukułko, graj z dąbrowy!
Choćby dzisiaj jam gotowy
O proszonym chlebie!
Choćby przyszło w chłodzie, głodzie,
W biedzie poniewierce.,
Byle przy niej, przy jagodzie..
Niechby... niechby o zachodzie
Odetchnęło serce!
Niechby wspomniał człek leniwy...
Danać moja dana!
Srebrne rosy... zielne niwy..
He... he! Wiosna! konik siwy!
Dziewczyno kochana!

El.

NADESŁANE.

Wydawca: K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Wład. Strzelecki.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.